

GRÜNBERG

Krzysztof Fedorowicz

GRÜNBERG

© Copyright by Krzysztof Fedorowicz
© Copyright by Wydawnictwo LIBRON
Kraków 2012

ISBN: 978-83-62196-73-9

Zrealizowano przy pomocy finansowej Miasta Zielonej Góry
Publikacja dofinansowana przez Urząd Marszałkowski
Województwa Lubuskiego

Redakcja językowa: Małgorzata Piwowarczyk
Korekta: Joanna Bizior
Projekt okładki: LIBRON
Skład: LIBRON



Wydawnictwo Libron
Filip Lohner
ul. Ujejskiego 8/1
30-102 Kraków
tel. 12 628 05 12
e-mail: office@libron.pl
www.libron.pl

I
Loos

1.

Rosjan w Loos wciąż nie ma. Jak trafił taki jeden, co pomylił strony świata, rozstrzelano go bez namysłu. Potem trup śmierdział, budził lęk, wisiał nad wsią jak miecz Damoklesa. Do czasu, gdy w Kaiserberge spadł niemiecki myśliwiec. Zanim wkroczyła obca armia, pilota i radzieckiego żołnierza pochowano w jednej mogile.

22 stycznia alarm i w kilka minut rozległa piwnica jest pełna. Silny wybuch, mury drżą, ludzie padają na kolana. Przerażenie jest donośne, głośniejsze od bomb. W ciemnym schronie Ernst Bartsch nie widzi nikogo prócz kilku najbliższych stojących osób, rozpoznaje rozedrgane głosy Ingrid, Johanna, Estery, Uwe, Hansa, Magdaleny, Henrietty i Klausea... Ściany, kolumny, sklepienia w nieskończoność powtarzają pojedyncze sylaby i słowa. Ale Bartsch nie umie utożsamić się z sąsiadami. Jest jak etnolog przyjmujący zagładę obcego plemienia. Wie, że sprawa jest przegrana. A na życiu jakoś nie bardzo mu zależy. Przeczuiwa wygnanie, smutek i nostalgię. Loos rozpada się, rozsypuje, odchodzi, znika. Obojętność miesza się z wściekłością i niezgodą – sam i osobny jest częścią Loos jak dom i drzewo, ale dom i drzewo nie przeciwstawiają się światu, są bierne, trochę

jak ludzie zatopieni w modlitwie. Lament jest kapitulacją, modlitwa dla tych, co nie potrafią spojrzeć prawdzie w oczy, których prowadzi irracjonalna nadzieja. Ocalenie – co będzie oznaczało? Czy ocalenie bez Loos ma sens, czy takie ocalenie jest ocaleniem? Czy życie jest jeszcze warte trudu? Spotęgowany echem rytm powtarzanych zdań staje się nie do zniesienia. Gna na złamanie karku jak drewniany wóz drabiniasty puszczony z Kaiserberge, co jeśli nie rozbije się na dębie przy drodze na Prittag, na stodole w Droschkau, to rozsypie w drobny mak, uderzając w masyw Riesengebirge. Ernst zostawia sąsiadów. Na zewnątrz błękit nieba i wiosna, co przyszła w tej jednej styczniowej chwili tak gwałtownie, jakby miała spełnić lato.

28 stycznia śnieg i mróz. Loos jest na linii frontu. Wieczorem, pisząc list, czuje obecność Mileny – stoi tuż za nim i przez ramię śledzi ruch pióra. W pewnym momencie poznaje zapach i we włosach znajduje ciepły oddech. Nie odwraca się: czeka, aż dłońmi zakryje oczy, starym zwyczajem, jeszcze z Bahnhofstraße. Często śni zapach, który pozostawał w domu na długie godziny, a czasem czuje go na jawie, jak teraz. Halucynacje? Nie zwykł oddawać się marzeniom. Ona rzeczywiście przychodzi, jest – choć tylko na chwilę i nie on decyduje kiedy. Gdy pisze

„meine Heimat ist Ihr Körper”, na ustach stojącej za plecami kobiety pojawia się grymas.

Nazajutrz na małym kwadratowym stole kuchennym puste flaszki z Patzgalla: po madeleine noir i madeleine royal, w obu przypadkach rocznik 1938. Zanim gospodarz skonstatuje, że niczego nie pamięta, do domu wpada zziębnięty Ernst Seifert z Pirnig Fahre, przewoźnik i muzyk. Bartsch badawczo przygląda się trąbce.

– Wracam z pogrzebu, z Prittag, nie wiedziałem, że macie taki kocioł – tłumaczy z pretensją Seifert. – Nie puszczają nikogo na Saabor ani do Loos Fahre, tam stoi wóz pancerny i strzela w stronę rzeki.

– To znaczy, że to już.

– Muszę wrócić. Wieczorem mam dyżur na promie.

– Jest wojna – Bartsch robi duże oczy.

– Pozostanę na Ferach. Wrosłem tam jak ta stara jabłoń. Zresztą, wojna przetoczy się, przewoźnik znów będzie potrzebny – mówi, jakby dystansował się od tego, co dzieje się wkoło. Choć jednocześnie właśnie teraz – dopiero teraz – do Seiferta dociera, że postanowił, że to ostateczne. Zostaje.

Znąją się dobre dwadzieścia lat, rozumieją prawie bez słów. Patrząc na książkę leżącą na kredensie, nie myślą

o wojnie. Litery na grzbiecie układają się w autora i tytuł: Hermann Hesse *Siddhartha*.

– To wydanie Levysohna z Postplatz? Rok 1933?

– Miałem dwa egzemplarze – zamyśla się gospodarz i szybko dodaje z ironią: – Może jeszcze przeprawimy się na drugi brzeg w twojej trzcinowej łodzi.

Ale najpierw przez wiejską drogę. Przed knajpą tłum, zajeżdżają wozy, ludzie wnoszą do środka rannych żołnierzy. Na nartach pojawia się osiemnastoletni Julian z Saabor:

– Wracam z miasta. Jechałem jakby pod prąd, mijając mnóstwo transportów wypełnionych meblami i sianem dla koni, na krzyżówce przed Loos zatrzymali żandarmi i nie chcieli puścić. Uparłem się, stąd zawsze bliżej...

Ernst ma na końcu języka pytanie „do czego?” i jasno widzi, że te dążenia nie mają większego sensu. Wszyscy są skazani na przypadek, słowo „dom” gwałtownie traci na znaczeniu. Od usytuowanej nad wsią gorzelni seria z karabinu maszynowego. Wszyscy trzej chowają się w knajpie. Wśród krzyków i głośnych dyskusji mijają długie godziny. Śnieg sypie coraz mocniej. Wychodzą, by stojący na drodze wóz wepchnąć do stodoły. Wtedy zajeżdżają saniem z Robertem – ojcem Juliana. Miał dużo szczęścia:

rankiem wiózł do Zawady sześciu oficerów, a w tym czasie byli tam Rosjanie, co rankiem przekroczyli Odrę w Tschicherzig i jeszcze za dnia dotarli aż po Altkessel.

Gdy zawieja ogranicza widoczność do kilku metrów, przestrzeń zdaje się nie istnieć. Robert i Julian saniami ciągniętymi przez młodego wałacha ruszają w niebyt. Wśród pól dogania ich warkot samolotu, w powietrzu długo unosi się swąd spalin.

2.

Obrona Loos jak zamku, bo wróg musi wdrapać się do wsi stromym wzgórzem pełnym wykopów i bunkrów. Rosjanie przeprawiają się przez Odrę między Sattel a Loos Fahre – przysiółkami położonymi dwa kilometry na północ od wioski. Hugo Schmidt prowadzi koło promu dom gościnny i właśnie postanawia ratować rodzinę. Żona Selma i trzy nastoletnie córki: Gertruda, Anna i Dorota chowają w ziemi to, czego nie zmieszczą do samochodu. Na spód największego dołu trafia czerwona tablica reklamowa z białym napisem „Löwen-Böhmisch Biere”, potem czarne, kupione ostatniej jesieni kozaczki sióstr, te Anny z prawidłami, bo dziewczyna dba o te rzeczy, na buty je-

dwabne halki, sukienki z najlepszych berlińskich domów mody, rękawiczki zakładane przez dziewczęta na ważne uroczystości i w niedzielę, piękne wzorzyste pończochy z Drezna – zakupione latem, gdy bawiły u siostry ojca – na wierzch zaś elegancko złożone lekkie płaszcze, które mają być modne tej wiosny. Na to mężczyzna zakłada wielką metalową miskę i sypie ziemię.

Schmidt zdecydował, by zabrać tylko ciepłe ubrania i żywność: wędzone mięso, puszki, worek ziemniaków i marchew. Rzeczy cenne lepiej zakopać, by przeczekały zły czas. Gospodarz denerwuje się, zasypując ostatnią dziurę – tę pod starym dębem – ze składem porcelany, biżuterią i pamiątkami rodzinnymi, listami i fotografiami, bo nie jest pewien, czy Rosjanie nie są już po tej stronie Odry. Ma wrażenie, że ktoś na niego patrzy, śledzi każdy ruch i tylko czeka na odpowiedni moment. Proteza lewej nogi ciąży jak nigdy, koło dębu przy wjeździe na posesję potyka się o kamień i pada. Traci przytomność. Nie słyszy, jak najpierw Anna, potem Gertruda, a na końcu Dorota krzyczą „nie” i wołają „tato”. Tylko Selma milczy. Milczy, by nie odbierać siły córkom, uśmiecha się cynicznie, nie czuje nic, widzi przez mgłę, jakby za szybą, bo nie ma tego, co jest, i co jest nie jest możliwe.

– Kobiety mamy, zegarków nie – szczyrzy zęby do Schmidta wysoki Rosjanin i przykłada zimną lufę pistoletu do skroni. Po czym strzela w kolano. Gospodarz ani drgnie, gapi się tryumfująco. Dwóch drabów podnosi go z ziemi, inny rzuca na konar dębu sznur do bielizny. Na drzewie jest już następny – wprawnym ruchem robi pętlę, jeszcze inny stawia na ziemi beczkę. Wszystko to trwa może kilka sekund, tak przynajmniej zdaje się Schmidtowi, który jest przekonany, że to koszmarny sen, jeden z wielu i ostatnio wcale nie oryginalny. Wreszcie stawiają go na beczce i wtedy dowódca dostrzega kopczyk – szybko, by nie tracić czasu, strzela w drugie kolano Niemca: noga bezwładnie zsuwa się, ciągnąc w dół ciało, pętla łamie kręgosłup. Jeszcze mignęły przed oczami postaci trzech córek, wrzucanych do samochodu jak worki z warzywami.

Samochód obłany benzyną wybucha. Rosjanie śmieją się, jeden z szeregowców w konspiracji przed oficerem połyka okrągły zegarek wygrzebany pod dębem. Żołnierze, naźarci wędzonym mięsem od Schmidtów – oprócz tego, który teraz już niczego więcej nie może przełknąć – za niecałą godzinę giną ostrzelani z bunkra na wzgórzu pod Loos. Tego, skąd jak na dłoni cała dolina rzeki, aż po Trebschen i Obraberg.

3.

Pierwszego lutego milkną strzały. Między Loos i Sattel mnóstwo trupów, wrak wozu pancernego, rozbebeszone bunkry. Krajobraz czarno-biały albo szaro-biały: śnieg i sine trupy w popielatych mundurach. Cicho jak w niemym filmie, chociaż raczej nie-filmie, bo nie ma ruchu – tylko obrazy przypominające scenografię teatralną, zaschnięta krew jak nie krew. Nie ma zapachów, śnieg nie skrzypi pod nogami.

– Jakoś nieprawdziwie – zauważa Seifert.

– Poczekaj, aż słońko przygrzeje...

Szybko obeszli lasy i wracają do Loos. Znów trupy w mundurach jak kukły, pod szkołą i knajpą przy drodze na Sattel. Przez Loos Rosjanie szybko przeszli, nie zatrzymując się, nie gwałcąc.

– Jakby niemieckich nędzarzy zostawili aniołom – stwierdza Bartsch.

– Aniołom?

– Jak aniołom poświęcasz część wina wlanego do nowej beczki, bo ta jest jak gąbka.

Zaraz w piwnicy Seifert puka w stare kufy. Nie tak, jakby sprawdzał, czy są pełne, ale tak, jakby chciał usłyszeć ma-

giczne zakłęcie, co przygotowuje na zagładę albo na cudowne ocalenie. Każda z dziewiętnastu beczek odpowiada na dotyk celebransa. Jedne zbyt krzykliwe, głośno i wyraźnie, inne przygłucho i głęboko, inne z szelestem, namiętnie.

Niektóre trzeba uzupełnić. Do tych z białym winem wlewają traminera z beczki bez przyszłości, starej, rozsychającej się, a do czerwonego – karmazyna. Później w stropie między dużym pokojem i piwnicą wycinają dziury i piwnicę zasypują piachem, sypią go też na schody. Robota trwa do wieczora i cały następny dzień, od świtu do zmierzchu. Ale wcześniej zabrali po kilkadziesiąt butelek z każdego rocznika – w sumie czterysta trzydzieści dwie flaszki – i złożyli w spiżarni, by było na zaś. To „zaś” może potrwać, więc postanowili przygotować dom na dłuższe zaś, zaś z zapasem. A wino będzie bezpieczniejsze w piwnicy, której nie ma, przetrwa zaś, zostanie na przyszłość, mniej czy bardziej odległą.

Siedemnaście beczek jest w dobrym stanie i zanim zasympali pomieszczenie, wtarli w drewno olej lniany – dla konserwacji, podtrzymania wilgoci – i między podłogą a stropem piwnicy wstawili solidne belki, by ciężar kuchennej podłogi poprzez grunt nie napierał na beczki, co prawda solidne, ale nieprzyczajone do tego, by leżeć w ziemi.

Wszystkie zostały dokładnie opisane, dla potomnych i ku własnej pamięci. 1100 l Loos Noir 1936 (pinot noir 50%, blauer portugieser 30%, magdalenentraube 20%), 2500 l Loos Blanc 1943 (pinot blanc 60 %, silvaner 20%, ruländer 20%), 500 l traminer 1933, 500 l traminer 1938, 1100 l traminer 1943, 500 l tauberschwarz 1944, 500 l pinot noir 1930, 500 l pinot noir 1935, 450 l pinot noir 1942, 500 l pinot blanc 1931, 450 l pinot blanc 1940, 1100 l pinot blanc 1942, Loos Blanc 1940 (riesling 50%, silvaner 25%, traminer 25%), 1100 l müller thurgau 1943, 450 l müller thurgau 1944, 500 l pinot blanc 1944, 500 l pinot noir 1944...

Przy kwadratowym kuchennym stole o pęcinach, które tak podobały się Milenie i – jak zdawało się im obu – jakoś podobnych do jej nóg, przy stole, w który jak w beczki trzeba wetrzeć olej lniany, stole z szufladą, którą można wyciągać w nieskończoność, i gdy zegar wskazuje północ:

– Czy to nie szaleństwo?

– Takie czasy.

– I wszyscy kopią, zakopują... Wykopią i założą te szmaty?

– Tak?

– *In vino veritas.*

- No to flaszka traminera z Luisenthal rocznik 1934.
- To?
- To.

4.

Od rana ostre słońce, wzgórze zasypane śniegiem – płaszczyzny bez ostrych kształtów, w oślepiającym świetle różowe, nieskończone, pustynne i ostateczne – jakby nie istniały pory roku, jakby tym razem świat miał się obejść bez wiosny.

W próżni polarnej i państwowej – już bez Rzeszy i jeszcze bez państwowości, co ma przyjść zamiast tamtej – Seifert jednak przypomniał sobie o promie, założył narty i pobiegł na Fery. Bartsch dalej gapił się w różowe pagórki, gdzie ledwo wystające nad śnieg kołki akacjowe wyglądały jak kamienie.

Nie zauważył, kiedy pojawili się Polacy. I nie przejął się, jak w poszukiwaniu zastaw i mebli na jego oczach widłami przebili Horsta Schillera, co nie chciał otworzyć drzwi. Jakoś nic nie robiło na nim wrażenia. Żadna śmierć, żadni przybysze, nic zupełnie. Otępiały i półprzytomny wykonywał, co kazali – najpierw wziął udział w selekcji, targu